



Kochani...

W liścikach, które do nas piszecie, bardzo często czytamy o Waszych powożeniach w szkole i w domu. Sprawia to nam wielką przyjemność i my Krasnale, zaczynamy Was jeszcze bardziej kochać, jako dobrych i kochanych dzieci, które, sumiennie spełniając swe obowiązki wobec szkoły i wobec rodziny, wyrosną na obowiązkowych i pilnych ludzi i będą w przyszłości pomocni swoim rodzicom i Krasnalom.

Pamiętajcie drodzy, że nauka wzbogaca człowieka i dopomoga mu w życiu. To też korzystajcie teraz, uczcie się pilnie i starajcie się ocenić wartości nauki. Przedewszystkiem musicie dokładnie poznać historję swego narodu i swój język ojczysty. Będziecie wtedy mogli łatwo pisać do nas bez błędów długie i ciekawe liściki oraz przysyłać do „Krasnoludków“ wierszyki i układać bajki i opowiadanka z Waszego własnego życia. Chyba pamiętacie, jak w jednym z poprzednich numerów pisaliśmy do Was, że niedość jest czytać „Krasnoludki“, lecz trzeba także do nich pisać. Jesteście posłusznymi dziećmi, więc mamy nadzieję, że usłuchacie naszej rady i zaczniecie pisać do „Krasnoludków“. Do „Krasnoludków“ można pisać bajki, wierszyki, opowiadanka i t. d. Wyobraźcie sobie jak przyjemnie jest czytać bajeczki i opowiadanka, ułożone przez Was samych. Serce wtedy raduje się u Krasnali!

A teraz powiem Wam coś w sekrecie, ale tylko nikomu o tem nie mówcie —

zgoda? Zanim Wy przysłacie opowiadania z Waszego życia, my w tym numerze „Krasnoludków“ rozpoczynamy drukować bardzo ciekawą i zajmującą powieść z życia ludzi dalekiej i wiecznie śniegiem pokrytej północy, gdzie ziemię trzymają w swych objęciach surowe mrozy i panoszą się straszne śnieżyce.

Poznacie w tej opowieści całą tych krain rodzinę z małym synkiem Dugenem, który napewno należałby do grona krasnoludków, gdyby nie tak bardzo znaczna odległość, dzieląca nas od jego śnieżnej i mroźnej ojczyzny. Powieść ta nazywa się „Czao-Ra“ i pochodzi od nazwy pieska, który, narówni z ludźmi, walczy z trudnościami życia i jest wielkim przyjacielem małego Dugena, a wiernym pomocnikiem całej rodziny. Psy, w życiu niektórych narodów dalekiej północy, spełniają większą rolę niż u nas koń i krowa i dlatego we wszystkich powieściach północnych stawiane są narówni z ludźmi. Bez pomocy psa człowiek północy nie dałby sobie rady z warunkami północnego życia. Dlatego też i ta opowieść została nazwana imieniem pieska.

Na zakończenie mamy dla Was taką propozycję: my będziemy drukować powieść, a Wy, po przeczytaniu i zastanowieniu się nad jej treścią, postarajcie się tą treść odtworzyć za pomocą rysunków i przysłać do Redakcji. Zgoda? No, kto pierwszy?

Serdecznie Was pozdrawiamy

Krasnale.

Nasze

Śnieżne płatki

Motyli białych — kwiatów białych
Padły na ziemię gęste roje:
W dzieciennych płasach rezszałałych
Złożyły sennie płatki swoje.
Spuściło niebo swe muśliny
I otuliło świat ich bielą...
Nadeszły białych snów godziny
Pod śnieżną, ciepłą ich pościelą...
Z niebieskich wyżyn pozaświatów
Dziewica zesłała niewidzialna
W dzieciennych płasach rezszałałych
kwiatów,

Gile

Leci śnieżek miękki, biały,
plateczkami leci,
cieszy się nim przy okienku
troje małych dzieci.
A przed oknem jarzębiny
gałązka się chwile,
na niej małe, śliczne gile
marzną w tę zawicję.
— Pewnie gile bardzo głodne!
Zmarznęte ptaszyny!
Pobiegnijmy szukać bułki,
chleba okruszyny! —
Wyrzucili przez okienko
garść okruszków dzieci.
Jak łakomie ptaszki jedzą!...
A śnieg ciągle leci...

Spokoju wróżka triumfalna.
I rzekła: Stańcie! — płynnym
zdrojom,

Spocznijcie! — rzekła kwiatom
leśnym,

Uśnijcie — rzekła pszczelnym rojom
I polom niemym i bezkreśnym.
I szkłem osnuła wód kryształę,
Osnuła ziemię futrem puchów.
Śpi duch przyrody w bieli całej,
Lecz niema snu dla ludzkich duchów...

Maszeruje piechota!

Jadą, jadą ulani, hej, ulani
rumiani... malowani!...
Maszeruje piechota
ołowiana... blaszana...
Wróg się czai z za płota.
Hej! już bitwa wydana!
— Pędź, koniu, mój koniu,
po dywanie — po błoni!
Bacność!
— Hej, ulani, do boju!
Pełno wojska w pokoju!...
— Wiwat!
— Wróg już pobity!
Wraca wojsko zwyciężone.
Maszerują ulani
malowani... blaszani!...

Mała gosposia

Pękate dzbanki spoglądały z półki na
Franusię. Spoglądały i tręcały się w boki
glinianemi uszkami. Śmiały się pękate
dzbanki z malej gosposi — Frani.

A Frania nie na nie nie patrzy, tylko
wielki fartuch zapasała i zabrała się do
zmywania!

Pracuje, pracuje, myje jeden talerz
po drugim, tylko woda tryska na wszyst-
kie strony. Już fartuch cały mokry, a i
po podłodze płynie rzeka.

No... nareszcie... Już prawie wszystkie
talerze czyste i zad wolone leżą na stole,
aż tu ostatni bęc... na ziemię!

Franusia płacze.

Biegnie na ratunek babcia, za babcia
mamusia, za mamusią ciocia, za ciocią wu-
jenka, za wujenka panna Gertruda, a na
końcu Marcysia. To właśnie Marcysię
chciała Frania wyręczyć i pozmywać za
nią talerze.

Franusia płacze — a babcia, mamusia,
ciocia, wujenka, panna Gertruda i Mar-
cysia śmieją się i całują małą gosposię.

Śmieją się i całują Franusię dotąd, aż
Franusia przestaje płakać i nawet już się
uśmiecha.

Na drugi raz zmywanie pójdzie lepiej.

Wierszyki

Zima

Przyjechała pani zima,
weselcie się dzieci!
Leci z nieba puszek biały,
za nim drugi, trzeci.

Lecą, lecą ich tysiące
niby rój motyli,
ubielify starą wierzbę,
co się w polu chyli.

Ubielify wszystkie drogi,
ubielify łąny
i kościołek, i dzwonnice
i nasz płot chrześciany.

I nasz dworek pochylony
i, czy też kto zgadnie?
Nosek Jani, Basi nosek
ubielify zdraźnie.

Styczniowe wesele

Przyleciała pani zima
na wesele Stycznia,
przyleciała wystrojona
i ubrana ślicznie.
Suknia na niej biała, lśniąca,
patrzeć — oczy bołą.
Szuba z białych gronostajów,
korona z soboli.

Oprócz Zimy przyjechało
gości bardzo wiele.
Wiedzą dobrze, huczne będzie
Styczniowe wesele.

Wszak to Styczeń dziś się żeni
będą tańczyć hu! ha!

Wszak do ślubu dzisiaj idzie
pani Zawierucha.

Mówi Styczeń Zawierusze:

— Poproś ojca, panno,
by do ślubu można było
jechać kopną sanna.

Więc śnieg biały, siwy ojciec
Zawieruchy młodej,
przyrzekł gościom, że sankami
będą iść w zawody.

A mróz, wujek, wnet zamrozi
wszystkie drogi sucho:
tędy będzie jechał Styczeń
z nanna Zawieruchą!

We wsi ludzie spać nie mogli
bardzo zatrwożeni.

Nie wiedzieli, że się Styczeń
z Zawieruchą żeni.

Na lodzie

Wysypała się gromada
Na lodowy szlak,
Jak pieniaća się kaskada,
Co w podskokach z góry spada
I mknie wdał jak ptak.

Wysypała się gromada
Na lodowy szlak.

Szlak usłała można zima,

Skrzydłem — łyżwy stał.

Nikt ich w pędzie nie zatrzyma,
Ledwie dojrzeć ich oczyma,

Gdy szybują wdał...

Szlak usłała można zima,

Skrzydłem — łyżwy stał.

Mroźny podmuch twarz rumieni...

Ale fraszką chłód!

Lekko naprzód pochyleni,

Po srebrzystej mkną przestrzeni,

Jak po toni wód.

Mroźny podmuch twarz rumieni...

Ale fraszką chłód!

Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni,

Kreśląc śmiały łuk.

Racze cugi mają oni:

Młodą krew, co tętni w skroni,

Zrećnością czyżwch nóg.

Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni,

Kreśląc śmiały łuk.

Tna lód, aż przechodzą ciarki;

Wietrze, ty ich goń!

Lecz, łyżwiarze i łyżwiarki,

Tym, co padną w iędzie szparkiej,

Bratnią podać dłoń...

Tna lód, aż przechodzą ciarki;

Wietrze, ty ich goń!

Jak Mruczek czytał „Krasnoludki“

Mówiła raz Zosia,

Mówiła do kotka,

Że pismo „Krasnoludki“

To rzecz-arcyślodka.

Mruczek wziął gazetkę:

— Przekonać się można!

I karteczki zaczął

Przerzucać z ostrożna.

Przejrzał całą, ziewnął

— Co ta Zosia plecie!

Ani jednej myszki

W gazetce niema przecie...

Nadesłała Renia Wilezyńska

z Daugawpilsu



Na dalekiej północy w szalaszach ze skóry, kory lub z cienkich żerdzi modrzewiowych, w „jurtach“, „czumach“, a czasem — w małych, ciemnych, o niskich pułapach chatkach, pozbawionych dachów, pedzą życie ludzie o twardych, czarnych włosach, o twarzach, ciemnych, szerokich, o policzkach wystających, wargach grubych i oczach skośnych, bystrych, poważnych.

Mężczyźni tak samo, jak ojcowie nasi, troszczą się o rodzinę i pracują, aby zabezpieczyć drogie istoty od głodu, zimna i choroby; kobiety z miłością matczyną i trwogą wychowują dzieci swoje na dzielnych mieszkańców surowej krainy, gdzie tylko silny potrafi wywalczyć sobie prawo do życia. Chłonnaki i dziewczynki, otulone w ubrania z futra, tak samo, jak nasze dzieci, dokazują, gonią się, kłóca, cieszą się i płaczą.

Ludzie dalekiej północy niezem się więc nie różnią od nas, bo umieją tak samo myśleć, czuć radość i cierpienie, wierzą w Boga i pracują.

Mieszkańcy tej surowej krainy są „koczownikami“. Gdy zabraknie ryb w rzece lub jeziorze, koczownicy-rybacy zwijają namioty i, obładowani całym swoim dobytkiem dążą ku brzegom innej rzeki, gdzie znowu stawiają lekkie budowle w pobliżu wody; koczownicy-pasterze, zajęci hodowlą reniferów, gdy spostrzegą, że zwierzęta ich pojadyły już trawę w całej okolicy, wędrują dalej ze stadami, szukając obfitego pastwiska; koczownicy-myśliwi przenoszą się również z miejsca na miejsce, idąc śladami zwierząt, stanowiących cel ich łowów.

Zimy są tu straszne nie tylko z powodu trzaskających mrozów i wściekłych śnieżyc, lecz najwięcej dlatego, że przerażają i gnębią ludzi długotrwałą nocą polarną.

Czarny mrok spowija białą ziemię. Dmą wichry zimne, a pod ich technieniem zamarzają rzeki i jeziora nieraz do samego dna, pękają skały i dzewa; ścięte mrozem w locie padają cietrzewie, białe pardwy i inne ptactwo; wszystko, co żyje, ukrywa się w norach i legowiskach, a nawet biały niedźwiedź, zaopatrzony w grubą, ciepłą futro, szuka jakiegoś dołu, kładzie się w nim i czeka aż przysypie go śnieg, pod którym przetrwa najsurowszy okres zimy.

Wyje i jęczy zamięć, miotają się pod jej smaganiem łapy jodeł i świerków, pokraczne gałęzie modrzewi, rozpaczliwie

chyłą się i skrzypią nagie, białe brzozy — powyginane, koszlawe.

Na równinach niezmiernych, stanowiących „tundrę“ — trzęsawisko, trawą brunatną i mchem porosłe, a biegnące aż hen! ku brzegom zamarzonego Oceanu Lodowatego, szeleści, zgrzyta i niknie kurzawa śnieżna, podnoszona, ciskana wściekle przez wichry mroźny; miotają się, powiewają i syczą rozwichrzone, rozczochrane grzywy nad wierzchołkami śnieżnych wydm i kurhanów.

Z ciemności bezmiernej wylaniają się nagle jakieś obłoki świetlne, zaczynają rozrastać się, aż ogarną całe niebo. To znów — wytryskują z poza niewidzialnego mroku horyzontu jakieś promienie jaskrawe, zielone, żółte i niebieskie, strzelają aż pod sam szczyt sklepienia nieba, przepajają je ogniami migotliwymi, rozlewają się w płachty drgające, promienne, w tęczę dziwne, w krzyże przegromne, w wieńce świetlne, płonące, łękiem przejmujące zabobonne prostacze serca mieszkańców tej ziemi przerażającej i groźnej.

Są to dni, w których nad martwą pustynią lodową świecą zorze polarne.

W marcu zaczyna już wyglądać słońce, przygasają coraz bardziej zorze mamiące, zaś na ich miejsce przychodzą inne.



Czworaczki — najin



Północni ludzie nazywają je „białymi nocami!”.

Są to wiosenne i pierwsze letnie noce, gdy zachodzące słońce tak długo oświetla ziemię szkarłatnymi i liljowymi promieniami, że z poza szarej plachty na chwilę krótką przygasłych obłoków, wylania się złociste oblicze wschodzącego słońca.

Wiosna mija szybko i prawie nagle wybucha lato. Natura, zgnębiona surową, nielitościwą zimą, otrząsa się z osłabiającego ją przerażenia, budzi się w wpada w zaś, w radość bujną. W gąszczy listowia gzić się zaczynają wiewiórki rude i ptasi drobiazg świergocący, śpiwny; w trzcinach nadbrzeżnych, w trawie wzbujają się i soczystej, coś sunie, szeleści suchemi liśćmi, skrada się i czai... ściga zdobycz i ukrywa się przed napastnikiem.

Z morza traw, krzewów, zielonych mchów podnoszą się nagle i spadają na ludzi i zwierzęta czarne chmury wysysających krew owadów: w nocy — komary, drobne muszki gryzące, w dzień — duże żarłoczne baki, wbijające żądła w skórę, przecinające wargi i powieki, a nieraz na śmierć zagryzające zblakanych w knieji ludzi, lub bezbronne zwierzęta, chociażby tak duże i potężne, jak łosz rosochaty lub byk, śmiało stawiający czoło zuchwałym wilkom...

Przez bór jodłowy o gęstem podszyciu



„gwiazdy” filmowe

z krzaków i wysokich traw przedzierała się, wolno postępując naprzód, mała karawana tuziemców.

Na czele szedł niewysoki, lecz barczysty mężczyzna z siekierą w rękę. Futrzana czapa z uszami, spadającymi na policzki, okrywała okrągłą głowę człowieka o ciemnej twarzy i dużych, piwnych, nieco skośnych oczach. Długa koszula ze skóry renifera, przepasana cienkim rzemykiem, także spodnie szerokie i futrzane buty, ozdobione wisorkami ze szklanych paciorków, chroniły ciało przed dotkliwymi ukłuciami owadów.

Tuziemiec szedł, torując drogę towarzyszom. Ścinał zwisające nisko nad ziemią łapy jodeł, okrytych mchem, przerażony i odrzucał na stronę pnie zwalonych przez burzę drzew.

Tuż za nim, niemal dotykając ostrym pyskiem pięt jego, postępował brudnobiały szpic, wymachując puszystą kitą ogona. Chwilami przysiadwał, aby wyciągnąć z kosmatego futerka swego dolegające i zawadzające ostrą zielska, strząsał łbem, odganiając baki i muchy bzykające i brzęczące mu koło oczu i czujnych uszu.

O kilka kroków dalej szła kobieta w takim samym futrzanym stroju, tylko nieco ozdobniejszym, bo obszytym na piersi i rękawach barwnymi wstążkami i mosiężnymi guzikami.

Niosła na rękę dziecko, owinięte w ciepłą kołderkę ze skórek lisich i prowadziła za sobą na dугim rzemieniu starego, rogatego renifera, obwieszzonego tobołami. Uwiązane do drewnianego siodła, ze zwisającymi z niego torbami, kroczyły jeszcze trzy oswojone jelenie. Wprawne oko północnego mieszkańca poznałoby od razu w przedzierających się przez knieje ludziach — koczujących łowców.

Istotnie na reniferach widniały dwa karabiny, kilka żelaznych siodeł i potrzasków, myśliwskie torby na proch i kule, spory ładunek zwiniętych skorek różnych zwierząt.

— Marusz! — krzyknęła kobieta. — Czy prędko dojdziemy?

Mężczyzna obejrzał się i, odganiając oblepiające mu twarz nieżnośne owady, odpowiedział spokojnym, łagodnym głosem:

— Gdy słońce stanie nad nami, dojdziemy do jeziora Choluń. Nań! Miej cierpliwość!

— No, przecież jestem cierpliwa, bo idę i nie narzekam, — odparła, chociaż te przebrzydłe baki — „pauty” dżgają, jak

wściekle! Musimy szańc, gdyż dziecko jest głodne.

Marusz zatrzymał się natychmiast, naciął prętów i przygotował dla żony wygodne siedzenie.

— Siadaj i nakarm małego Dugena! — rzekł z tkliwością; usiadłszy w kukki, zgarnął suche liście i gałęzie i jał rozpalać małe ognisko, uderzając o krzemień kawałkiem wiszącego na pasku żelaza i rozumując hubkę. Po chwili suche drzewo palić się zaczęło.

Marusz wrzucił do płomieni kilka świeżych gałęzi jodłowych i, wymachując poła, skierował dym na karmiącą kobietę, aby jej nie dokuczały bąki i komary.

Biały szpic kręcił się nieustannie koło myśliwego, piszczał i cicho, żałośnie poszczekiwał.

— Czego chcesz Czo-Ra? — spytał Marusz.

Piesek chwycił go zębami za połę kurtki, i ciągnął ku reniferom. Gdy spostrzegł, że gospodarz podniósł się, Czo-Ra stanęła przy starym reniferze i zaczęła głośno szczekać.

— Ach! — mruknął myśliwy. — Zapomniałem o twoich dzieciach, przyjaciółko!

Rozwiązał worek i, wydobywszy z niego koszyk, postawił go na ziemi. Natychmiast wysunęły się z niego główki trzech białych i dwóch szarych szczeniaków o ostrych, kosmatych mordkach i szpiczastych uszkach.

Cicho mrucząc, suka zębami wydobyła maleństwa z koszyka i wyciągnawszy się wygodnie, zaczęła je karmić, co chwila oglądając się na ludzi, siedzących przy dymiącym ognisku.

W pół godziny później Marusz znowu brnął przez zarośla kniej, a za nim szła Nań z dzieckiem i obladowane skórzane mi torbami, oswojone renifery.

Czo-Ra biegła przy nodze swego pana i weszła na wszystkie strony, strzygąc uszami i głośno parszcząc.

Marusz nie pomylił się, bo gdy słońce stało w zenicie, wprost nad głowami przebijających się przez las ludzi, ujrzał obszerną kotlinę, otoczoną porośniętym lasem wzgórzami. Nieduże jezioro, leżące w ramie trzciny i sitowia, lśniło się w promieniach słońca i odbijało w swej nieruchomej toni biało-srebrzyste obłoczki, mkną-

ce po niebie. Czereda krzykliwych rybitw unosiła się nad wodą z jękiem drapieżnym wpadała w nią i porywała ryby.

Marusz zatrzymał się nad brzegiem jeziora, gdzie dojrzał szeroką, suchą łachę piaszczystą.

Szybko zdjął z reniferów wory i toboły, ustawił na ziemi skrzynie, poczem narabiał długich, cienkich żerdzi, ustawił je, wbijając ostre końcami do ziemi, otoczył skórami, związał rzemieniami i zapaliwszy we wnętrzu namiotu ognisko, zawołał radosnym głosem:

— Nań, wchodź do „czumu” z matym Dugeniem i niech Wielki Duch będzie miłościwym dla nas!

Patrząc na wybijający się nad szczytem szałas słup siwego dymu, uśmiechnął się łagodnie.

Czo-Ra zaczęła skakać mu do piersi, usiłując czarnym językiem liźnąć w twarz swego pana.

Pogłaskał psa i po chwili rzekł do żony.

— Powieś kocioł z wodą nad ogniskiem... wkrótce powrócę, Nań!

— Dobrze — odezwała się z szałas.

Marusz, oglądając karabin, gwizdnął zcicha.

Czo-Ra odrazu znieruchomiała i stanąwszy przed myśliwym, badawczo patrzyła mu w oczy.

— Trzeba coś zdobyć do jedzenia Czo-Ra — mruknął Marusz. — Idź i szukaj!

Pies pomknął w stronę dziewiczego lasu, całym pędem przecinając równinę, lecz, dobiegłszy do pierwszych drzew, przystanął i ostrożnie, bez szmeru wślizgnął się w haszcze.

Marusz, nabawiwszy strzelbę nasłuchiwał.

Zdaleka rozległo się krótkie, urwane szczekanie psa.

Myśliwy biegiem skierował się na ten głos i, zręcznie wymijając gęste zarośla, szedł przez las.

Wkrótce do samotnego szałas nad jeziorem echo przyniosło huk wystrzału; jeden tylko — głuchy, daleki.

Z „czuma” wyszła Nań i, przystońszy oczy dłonią, patrzyła w stronę boru.

Wynurzył się z niego Marusz, Dźwigał na ramionach kota.

Czo-Ra biegła obok, wesole wymachując puszystym ogonem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Wścig sprytnych główek

LAMIGŁÓWKA

(3 punkty)

Z podanych liter ulóż 3 wyrazy, dające się czytać poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów:

1) Owad. 2) Inaczej ogród. 3) Imię dziewczynki.



ZGADYWANKA

(2 punkty)

Stoi przy drodze
na zielonej nodze.
Kto się jej tyknie,
ten syknie.

Co można ułożyć z rysunków obok podanych? Postarajcie się to zrobić uważnie, bowiem od tego w dużej mierze będzie zależało zwycięstwo w wścigu sprytnych główek, który już wkrótce kończymy.

Staszek i mróz

Zima. Dzionek wstał wesoly. Tup, tup idzie Staś do szkoły! Po nos wlaź do kożuszyny, w butach toną mu nożyny, a na głowie aż się slania ogromna czapa barania! Z pod niej widać tylko oczy.

Dumnie Stacho drogą kroczy, bo to czapa jeszcze brata, co ją nosił przez dwa lata, a ten kożuch ciepły, duży czasem to i mamie służy, a te buty nie byle co! same nogi wdał w nich leca, a na każdym ze dwie lata — bo to stare buty taty! Tato nosił je przez lato — Staszek nosi zimą zato!

Dziwy, dziwy wokolutko: eicho, mroźno i bielutko. Mróz, co przysiadł tuż nad wodą, natrzy, trzęsie siwą broda!

— Co?! ten Staszek, ten maleńki, co tak biegnie wdał z pościelchem nic, a nie się mnie nie boi?! Złapie ją go w ręce swoje! Zamrozę go swym oddechem! —

I łaps! chwytą go za nogi, aż tu buty krzykną:

— Z drogi! My jesteśmy buty taty, każdy z nas ma po dwie lata! Tato nosił nas przez lato, Stach nas nosi zimą zato! Obronimy Stacha nogi! Przecz! zły mrozie, precz nam z drogi!

U... u... wuu, dmuchnął mróz ze złości:

— Przejmę chłodem go do kości!

Zmrozę ręce, zmrozę głowę, w szron ubiorę włosy plowe!

A ten kożuch ciepły, duży, co to czasem mamie służy, jak się na mróz nie oburzy!

— A ty mrozie, ty ladaco! Chcesz mi Stacha zmrozić! Zaco?! Nie pozwolę! Toż to sama kładła mię na Stacha mamal! Trzy mię razy okręcała, ciepłą cbustą przewiązała i strzec Stacha nakazała, i ochraniać go — od chłodu!

A ta czapa, ta barania, co na głowie aż się slania, jak ci krzyknie:

— Ach, ty zły, dziadu mrozie, takiś ty! Chcesz mi zmrozić Stacha głowę, chcesz oszronić włosy plowe! Nie, na honor starej czapy, nie uda ci się to, nie! A od czego Stach ma mnie?!

Tup, tup — biegnie Stach ścieżyną, już i stare wierzby minął. Już się mrozu nie nie boi, już na progu szkoły stoi.

Sklada książkę, zeszyt składa, wszystkim dzieciom opowiada, jak do szkoły biegł co sily, jak od chłodu go bronily: ot, ta szapa, ta barania, co się aż na głowie slania, bo to stara czapa brata, co ją nosił przez dwa lata. I ten kożuch ciepły, duży, co to czasem mamie służy, i te stare buty taty, co z nich każdy ma dwie lata!



Leci sówka

Zbudziła się Zochna,
spojrzała do okna
Nocka taka jasna,
że nie można zasnąć.
Nocka taka długa,
księżyc oczkiem mruga.
sówka sobie leci
po obiad dla dzieci.
Piórka nasrożyła,
oczy wytrzeszczyła,
myszki musi łowić,
taki los już sowi.
Zochna taka mała.

sówki się lękała.
Myślała: — Nie zasnę,
sówki takie straszne,
niewiadomo poco,
tak latają nocą? —
Źle myślała o nich,
któż sówki obroni?
Przecież nie są winne,
mają oczki inne;
mają takie oczy,
co to widzą w nocy.
Gdyby w dzień latały,
nicby nie widziały.